

WIERSZ W PORTALU (6)

Apokalipsa według świętej Izabeli

Ona widziała otwarte brzuchy saren, woda i forma,
tak wygląda zoom boga. Jestem pewna, że nic o nas nie wie
deszcz, kiedy spada, a niebo staje się szarą planszą nigdzie, jesteś tam,
mówi, jeśli tam jesteś, czuwaj nade mną, trzeba to powtarzać, trzeba,
zanim dzień zmieni się w atak paniki, ponieważ obok ja
stoi zawsze jakies ty. Trzy sekundy, dwie sekundy, jedna,
miejsce pozostaje puste, sen będzie czarny
jak barwa żałobnic, martwy jak kto? Co ona widziała
tamtego straszego dnia? Mówi: ostatnio jestem spokojniejsza,
to jest mój dom, mój pies, część ewolucji, pyłek w cieniu ery,
fragment czegoś znacznie mniejszego,
jak ziemia oglądana z dużej odległości, śpij, ciało,
przyszła skamielino, pomiędzy warstwą triasu a warstwą bawełny,
zaśnij, prywatna elegio, niech ci się przyśni, co nie jest,
mężczyzna, przewiń, chłopiec,
przewiń mały ocean, którym wezbrała pieśń jego matki
(piękna jest jego matka, gdy wzbiera), puść, lepiej to puść
w drugą stronę, autopsja, cisza, cięcie
skalpela i jeśli go kochasz, wszystko jest morzem,
jak było na początku, na wieki i teraz toń albo pływ do brzegu.

Co, jeśli nie prezent?

Biała plama jej prawej piersi, ramię
zahaczające o krawędź lodowca. Dokąd teraz pójdzie,
kiedy ulica zamienia się w wypadek? Spójrz,
powiedziała dziewczyna, mogłaby być kamieniem,
właściwie już jest kamieniem, z każdym mgnieniem mocniej.
Jej lewa ręka od łokcia po nadgarstek
przewiązana wstążeczką czerwieni jak prezent.
To nie powinno się zdarzyć, powiedział chłopiec, nigdy.
Mężczyzna w płaszczu, w plastrze miodu, on jeden wiedział,
lepiej jest milczeć, gdy budzą się żywoły:
ten z szarpanego, płytkiego oddechu, ten z drgawek
i z krwi, jakby krew była naszym pierwszym domem.
Jej oczy, jej oczy, mamrotała kobieta podobna do begonii.
Błękit powyżej, a w dole odwieczna walka
przyływów światła i surowego mięsa. Świat jest złotym węzem
u nóg Eurydyki. Pomieść nas wszystkich, chwilo. Ktoś płakał.

Nie ona, ten przedmiot. Ta chwila wygładziła jej rysy,
tak wygładza się futro domowych zwierzątek albo kocyk dziecka
na dobry sen troskliwą ręką, jak śmierć, więc śmierć, to nic,
że upadasz, że się w tobie zaczyna bez horyzontu morze.

Tego nie można zgubić

W czerwieni,
ponieważ to kolor krwi i mamy jej tak wiele
w środku, w czerwieni,

ponieważ mamy jej tak wiele,
że czasami trzeba pokazać ją na zewnątrz, czasami trzeba
przejść przez szpitalne sale pełne niedoszłych samobójców,
tak nieprzytomnie zatłoczone w każde dzisiaj i jutro
(i chciałabym pozostać tutaj,
wsluchana w ciche, czułe tętno, ale czasami),
trzeba podważyć kamień,
który jest ich ciężarem, zimny, gładki granit,
i zobaczyć kwiat, strużkę krwi, wszystko,
co tak bardzo chciało w nich żyć,
to właśnie chciało się z nich zapamiętać,
a reszta (jaka reszta?)
- te oceany, oddechy, oddechy, oceany.

Izabela Kawczyńska - wydała zbiory wierszy: „Luna i pies. Solarna soldateska”, „Largo”. Debiutowała opowiadaniem w „Odrze”. Publikowała m.in. w „Pograniczach”, „Arteriach”, „Akcencie”, „Dyskursie”, „Tekstualiach”, „Toposie”, „Re:presjach”, „Frazie”, „Blizie”, „Helikopterze”. Laureatka konkursów literackich (im. Baczyńskiego, Wojaczka, Ratonia, Poświatowskiej, Herberta, Kajki). Za książkę „Luna i pies” otrzymała II nagrodę w konkursie Złoty Środek Poezji na poetycki debiut książkowy roku 2008. Laureatka projektu Biura Literackiego "Odsiecz 2013" dla najciekawszych autorów po debiucie.